

**GRZEGORZ KOWALSKI**

## **WARUNKI ŻYCIA CODZIENNEGO NA ZESŁANIU**

### **1. Uwagi wstępne**

Los człowieka na zesłaniu zależał, w znacznej mierze, od jego sił witalnych i woli przetrwania oraz jego kondycji psychicznej, a także wiary, które były jednak ściśle zależne od możliwości przetrwania. Owe możliwości dawały przede wszystkim, mocno ze sobą powiązane, wręcz współzależne w warunkach zesłania, wyżywienie i praca. Następными, niezbędnymi warunkami umożliwiającymi przeżycie były, równie ważne, ubranie i mieszkanie. Z materialnymi aspektami życia codziennego w posiołkach, łagrach, przy katorżniczej pracy, zesłańcy toczyli codzienną walkę o życie. Znaczna ich liczba walkę tę przegrała. Ci, którym dane było przetrwać, w spisanych wspomnieniach dali świadectwo nie ludzkich cierpień, które im i ich rodzinom zgotował radziecki okupant.

We wspomnieniach zesłańców jawi się pewien wspólny rys, by nie rzec schemat, losów zesłańczych. Wszyscy oni, bez względu na datę i region wywiezienia, opisują podobne koleje swego losu. Czy to Syberia, z jej bezkresną tajgą, czy suche stopy Kazachstanu, pewne cechy zesłania powielają się w spisanych relacjach. Począwszy od dnia raptownego „przebudzenia”, kilkutygodniowy transport koleją o „chlebie i wodzie” – choć niejednokrotnie i tego brakowało – w głąb Związku Radzieckiego, przez trwającą dalszych kilka dni, bądź tygodni, podróż saniami lub wozami ku miejscom przeznaczenia, aż do osiedlenia w owych posiołkach, kołchozach i sowchozach. Już na miejscu, czy to w posiołku, czy w kołchozie, czekał ich podobny, wspólny los: poniżenie, chłód lub spiekota, katorżnicza praca, głód, choroby, wycieńczenie i w wielu przypadkach śmierć.

Zaznaczyć tutaj trzeba, że mimo zakazu, ze strony NKWD, kontaktów bezpośrednich ludności tubylczej z zesłańcami i jej wcześniejszej niechęci do zesłańców spowodowanej propagandą aparatu władzy, po skonfrontowaniu twarzą w twarz, ludność ta bardzo często widząc w zesłańcach ludzi podobnych sobie, udzielała pomocy w niedoli zesłania wiedząc czym ona jest, gdyż sami wcześniej jej doświadczyli. Rzeczeni „krwiopijcy”, „wyzyskiwacze klasy pracującej”, owe „Polskie Pany”, okazywali się często ludźmi podobnymi im, skromnymi, wystraszonymi tym co zastali i niepewnością swego losu; tym bardziej, że pośród nich przeważały kobiety, dzieci i starcy; mężczyźni w sile wieku było mało,

gdyż większość była wcześniej zmobilizowana do Polskiej Armii i brała udział w wojnie.

## 2. Wyżywienie

Od pierwszych chwil zesłania, już w drodze na zsyłkę, tj. od momentu wejścia na pokład wagonu kolejowego, dla Polaków wywożonych w głąb Związku Radzieckiego, żywność stanowiła bardzo ważny czynnik umożliwiający dotarcie do przymusowego celu „podróży”. W miejscach docelowych zesłania, w których panowały skrajnie trudne warunki bytowe spowodowane, między innymi, niespotykanymi w Polsce mrozami, bądź bardzo dużymi upałami, wyżywienie stało się najistotniejszym elementem czyniącym przetrwanie możliwym. Wyruszywszy w ową podróż w nieznane, zesłańcy zaczęli cierpieć niedostatek wszystkiego; począwszy od warunków sanitarnych, ciepła, aż po głód. Niewielu dano czas i możliwość zabrania ze sobą wystarczającej ilości żywności, ubrań i sprzętów niezbędnych do życia na Syberii, czy w Kazachstanie.

Choć sporadycznie zdarzały się sytuacje, w których obchodzono się bardziej po ludzku z przyszłymi zesłańcami, umożliwiając im zabranie ze sobą wystarczającej ilości pożywienia i ubrań, jak miało to miejsce w przypadku niektórych z zesłanych rodzin – pewnej rodzinie przykładowo, dano na tyle czasu, by mogła zaopatrzyć się na drogę w dwa worki mąki, worek ziemniaków i jarzyn,<sup>1</sup> innej pozwolono nawet zabrać ze sobą w drogę tuszę świeżo ubitego cielaka i wieprzową słoninę<sup>2</sup> – to jednak na porządku dziennym było bezwzględne i okrutne obchodzenie się z deportowanymi, jak to wyglądało u jednej z wielu wywiezionych polskich rodzin, na której dopuszczono się nawet pobicia i kradzieży, co lepszych rzeczy, nie dając czasu na zabranie nawet jedzenia.<sup>3</sup>

W trakcie podróży koleją trwającej kilka tygodni, w zatłoczonych bydłowych wagonach zaryglowanych od zewnątrz na czas drogi, by uniemożliwić ucieczkę, karmiono deportowanych raz dziennie lub raz na kilka dni, dając czarny chleb i tzw. „kipiatok”,<sup>4</sup> czyli wrzątek, i to tylko w przypadku wywózki na Syberię oraz doprawdy sporadycznie, jeden gorący posiłek w postaci kaszy z jakimś mięsnym sosem.<sup>5</sup>

Na samym początku podróży, mimo niewystarczającego i bardzo rzadkiego dostarczania żywności przez obsługę eszelonów, zesłańcy nie odczuwali przejmującego głodu, gdyż każdy z deportowanych doświadczając tego samego losu dzielił się tym, co miał do jedzenia zabranym jeszcze z ojczyzny, z pozostałymi uczestnikami niedoli. Głód narastał jed-

<sup>1</sup> T. Tokarz, *Skrzywdzona przez los*, Archiwum Naukowe Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (dalej: AN PTL), sygn. 103/s, s. 2.

<sup>2</sup> A. Zybajło-Masternak, *Moje spotkania z władzą radziecką podczas I i II WŚ*, AN PTL, sygn. 21/s, s. 9.

<sup>3</sup> J. Maliszewska, *Moje wspomnienia z Syberii*, AN PTL, sygn. 111/s, s. 2.

<sup>4</sup> T. Sitarek, *Wspomnienie z Syberii*, AN PTL, sygn. 17/s, s. 5.

<sup>5</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 3.

nak z każdym kolejnym dniem. Podróż trwała często wiele tygodni w koszmarnych warunkach sanitarnych. Oba te czynniki przyczyniały się do śmierci najsłabszych jeszcze w trakcie jazdy ku docelowym posesiom.

W trakcie dalszej drogi do miejsc przesiedlenia, zesłańcy odbywali podróż w ogromnych mrozach, w przypadku zsyłki na Syberię lub w straszliwej spiekocie, w przypadku, gdy miejscem docelowym był Kazachstan i okoliczne regiony. Warunki owej podróży zależne były również od pory roku, w której wywózka miała miejsce – zima, wiosna, czy początek lata. Podczas jazdy na Syberię tułaczka odbywała się saniami, a w kierunku Kazachstanu wieziono zesłańców wozami konnymi, furmankami. Część deportowanych, przeważnie tych zesłanych do Kazachstanu, była przewożona ciężarówkami, przez co na miejsca zesłania docierała szybciej.

Droga zajmowała kolejne długie tygodnie zanim zesłańcy dotarli do przeznaczonych im miejsc zesłania. Owa gehenna odbywała się zarówno dniem, jak i nocą, o głodzie i chłdzie. Dzieci i słabsi fizycznie marli w tej wędrówce. W drodze zatrzymywano się przeważnie w celu nakarmienia koni, natomiast ludzie w tym czasie, mogli jedynie „rozprostować kości”, gdyż postój nie trwał wystarczająco długo. Sporadycznie zatrzymywano się jednak, by i ludziom dać odpocząć. Rozmieszczano ich wtedy u poszczególnych kolchoźników i miejscowej ludności, którzy niejednokrotnie byli przesiedleńcami po wewnętrznych zawieruchach politycznych Rosji. Stąd brało się ich rozumienie losu polskich zesłańców. Współczucie i serdeczność, którymi często obdarzali polskich wygnańców polegały, między innymi na dzieleniu się tym, co mogli sami zaofiarować, czyli ciepłym jedzeniem i noclegiem. Był to poczęstunek, w drodze do posesioma przeznaczenia, przez równie biednych mieszkańców wioski. Często walczyli czym mogli, przykładowo: „ziemniakami w mundurkach, czajem z samowaru”,<sup>6</sup> czy choćby tylko przegotowaną wodą<sup>7</sup> dla rozgrzania wycieńczonego organizmu.

Tym, co dotarli do wyznaczonych im miejsc zesłania przyszłość jawiła się w najczarniejszych barwach, a jak czas pokazał, przewidywania ich sprawdziły się po stokroć z bardzo nielicznymi wyjątkami. Ci, co nie zdołali dostosować się do warunków panujących w rejonach deportacji, których zdrowie i kondycja fizyczna załamały się, zmarli, pozostawiając na tych ziemiach kolejny tragiczny ślad wygnańczego losu narodu polskiego. Po przybyciu na miejsce przymusowego osiedlenia, zesłańcy zostali rozlokowani w posesiomach, kolchozach i sowchozach. Wyżywienie ich leżało w gestii władz poszczególnych osiedli. Reglamentacja produktów żywnościowych zależała ściśle od wykonywanej pracy, bardzo często pozostawiając wiele do życzenia. Już od momentu przybycia na miejsce za-

<sup>6</sup> M. Kuczyński, *Moja wojenna tułaczka*, AN PTL, sygn. 110/s, s. 11.

<sup>7</sup> A. Borkowska, *Wspomnienia z pobytu na Syberii i w Kazachstanie*, AN PTL, sygn. 107/s, s. 2.

znaczono, że na jedzenie zesłańcy muszą zapracować, darmo tylko „kipiatok”.<sup>8</sup> Nic nie będzie im dane za darmo, a „kto nie pracuje ten nie je”.

Podstawowym produktem spożywczym na zesłaniu był chleb, na który trzeba było zapracować i który z reguły był produktem deficytowym. Mimo zapewnionych przydziałów<sup>9</sup> nigdy nie było pewności, że wystarczy go dla wszystkich stojących w kolejce.<sup>10</sup> Zarabianiem na chleb zajmowali się dorośli, choć nadmienić tu trzeba, iż zaliczano do nich również dzieci, które skończyły czternasty rok życia.<sup>11</sup> Chleb sprzedawano w miejscowych sklepikach, tzw. „łarkach”, na kartki.<sup>12</sup> Przeważnie stanie w kolejkach po chleb należało do obowiązków dzieci.<sup>13</sup> Rodzice zmuszeni byli obarczyć dzieci tym obowiązkiem, gdyż oni w czasie, gdy był on „rozdzielany”, pracowali w lasach, bądź w polu, oddalonych o wiele kilometrów od posiołków i kołchozów. Szczególnie w przypadku pobytu na Syberii, w ciągu syberyjskiej zimy panującej przez większość miesięcy w roku, nie było to zadanie łatwe dla dziecka, gdyż wiązało się z wczesnym wstawaniem, już o godzinie szóstej rano i wystawianiem pod sklepikiem na mrozie w nędznym ubraniu, często bez zimowego obuwia, czasem z nogami owiniętymi tylko szmatami. W Kazachstanie natomiast doskwierał upał w lecie, a zimą zamiecie śnieżne powodowane przez wiatr, tzw. „buran”. Również niejednokrotnie, gdy nie dowieziono wystarczającej ilości chleba, dochodziło do walki o każdy jego kawałek.

Przydział chleba w poszczególnych regionach różnił się i był zależny, zarówno od władz osiedli specjalnych, którą reprezentował komendant obozu, jak i od zatrudnienia oraz wypracowanych norm. Zawsze jednak racje chleba były skromne i w nie wystarczającej ilości przy tak katorżniczej pracy. Niejednokrotnie nie wystarczało pieniędzy zesłańcom na chleb, gdyż nie wyrabiano wyśrubowanych norm pracy, co było spowodowane złym stanem ich zdrowia.<sup>14</sup>

Tak np. normy przydziału chleba opisuje jeden z deportowanych do pracy w tajdze, osiedlony w posiołku Suchona, w obwodzie Archangielskim:

Przydział wynosił dla pracującego 1kg, a niepracujący otrzymywał 0,5kg na dzień. Bochenek chleba ważył 4kg. Umożliwiało to praktycznie podział tego ciężkiego razowca na porcje 1kg i po 0,5kg. W świecie cywilizowanym i przy racjonalnym odżywianiu spożywanie takich ilości chleba przez ludzi to nonsens i paradoks. Ale sprawdzała się stalinowska zasada: „chleb i woda niet gołoda.”<sup>15</sup>

<sup>8</sup> T. Sitarek, op.cit, s. 5.

<sup>9</sup> L. Słodki, *Wspomnienia (bez tytułu)*, AN PTL, sygn. 104/s, s. 11.

<sup>10</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 7.

<sup>11</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 13.

<sup>12</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 2

<sup>13</sup> Ibidem.

<sup>14</sup> L. Słodki, op. cit., s. 12.

<sup>15</sup> Ibidem, s. 11.

Inny, również deportowany w tajgę syberyjską, zesłaniec z obwodu Tiumeńskiego, z posiłku umiejscowionego nad rzeką Ob, takie z kolei przytacza normy przydziału chleba: po 0,5 kg dla pracujących i po 0,2 kg dla dzieci, starców i inwalidów.<sup>16</sup> W jego wspomnieniach warte także przytoczenia jest obchodzenie się z chlebem i wyrażający się w tym szacunek i dbałość o rodzinę:

Chlebem w domu rządził ojciec. Twierdził, bowiem że trzeba racjonalnie go jeść, bo w przeciwnym wypadku umrzemy z głodu. Miał rację. Trzymał go, więc pod kluczem w kuferku zabranym z Podola. Cała racja dzienna chleba dla naszej ośmioosobowej rodziny wynosiła 3kg 100g. Był to bochenek i nieraz kawaleczek. Dzielenie chleba odbywało się dwa razy dziennie – rano i wieczorem. Szczególnie wieczorne dzielenie utkwiło mi w pamięci. Wszyscy z rodziny za wyjątkiem nas trojga małych dzieci chorowali na tzw. kurzą ślepotę. Polega ona na tym, że z chwilą nastania zmroku nic się nie widzi. Ojciec, pomimo że był ślepy, wiedziony jakimś instynktem, wyjmował z kuferka chleb i dzielił go, tzn. krajał każdemu bez wyjątku jednakowy kawałek wielkości dwóch pudełek zapalek. My młodszy roznosiliśmy i kładliśmy każdemu w wyciągnięte i rozłożone dłonie. Jedliśmy w milczeniu – była to nasza rodzinna komunia.<sup>17</sup>

Z kolei zesłanka z obwodu Wołogodzkiego, z posiołka Ozierona, pisze, iż kupowany na kartki chleb dla pracującego przypadał w ilości 1,5 kg, a dla dziecka 0,7 kg na dzień.<sup>18</sup> Jeszcze inne dane podaje wygnanka przesiedlona do obwodu Krasnojarskiego: 0,4 kg dla pracujących i 0,15 kg dla dzieci i starów.<sup>19</sup>

Natomiast jeden z zesłańców pracujący przy szczególnie niebezpiecznym zadaniu w tajdze, przy budowie pochylni do spuszczenia ze stromego brzegu rzeki drzew do wody, zaznaczając, iż było to wyjątkowe wyróżnienie, przytacza zatrwającą niską normę żywnościową, zważywszy na trud wykonywanej pracy:

Jak nigdy przedtem i potem podczas budowy rynny (około dwóch tygodni) 24 osobowa brygada w trakcie 12 godzinnego dnia pracy otrzymywała obiad składający się, z: 20 dkg chleba i 5-8 dkg solonej stynki. Było to wyróżnienie podkreślające ważność zadania, jakie miała brygada.<sup>20</sup>

Wydaje się, iż ów kilku-dekagramowy dodatek ryby niewiele kalorii mógł dodać w tym wypadku, aczkolwiek była to wyjątkowa doza tłuszczu dodająca energii w takich okolicznościach.

Również konsystencja, skład zbóż i jakość chleba pozostawiała dużo do życzenia. Był to chleb „czarny jak ziemia, a przy tym jeszcze po prostu, jak glina rozrobiona z wodą. Chleb był w kształcie cegiełki. Porcja 500-gramowa – to była kromka grubości 2 cm”.<sup>21</sup> Chleb, „z którego

<sup>16</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 14.

<sup>17</sup> Ibidem.

<sup>18</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 2.

<sup>19</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 4.

<sup>20</sup> A. Gruber, *Druga do wojska*, AN PTL, sygn. 13/s, s. 13.

<sup>21</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 14.

można było lepić koniki”.<sup>22</sup> Lecz mimo wszystko był to produkt pożądany i niezbędny by jakoś, choć w minimalnym stopniu, zaspokoić głód. Białe chleby to były delikatesy, które sporadycznie, od wielkiego dzwonu, najczęściej 1-go maja, czyli w robotniczym dniu świątecznym pojawiały się w posiłkach. Lecz jego dostępność dla każdego „pieresielienca” była minimalna i sztuka jego zdobycia była niezmiernie trudna. Nieliczne osoby miały to szczęście, że pracowały przy wypieku chleba, co zwiększało szanse ich rodzin na przetrwanie w tych trudnych warunkach.<sup>23</sup>

Trochę lepiej w początkowym okresie zesłania przedstawiała się sytuacja z chlebem w Kazachstanie. Oprócz „przydziałowego” chleba piekli go również sami, gdyż w każdym kołchozie była piekarnia. Chleb wypiekało się również w domu. Najczęstszym zbożem do jego wypieku był jęczmień lub proso. By zwiększyć ilość wypieku oraz choć minimalnie zwiększyć zawartość tak potrzebnych witamin, dodawano nawet otręby z bóż. Za wypracowane normy dostawało się przydział zboża, które następnie we własnym zakresie trzeba było zemleć w prymitywnych żarnach. Pracujący dorośli dostawali 1 kg pszenicy, dzieci 60 dkg.<sup>24</sup>

Za ciężko wypracowywane dniówki dostawało się po 40 dkg czarnego chleba i 0,5 litra zupy, w której pływały nieliczne ziarna kaszy jaglanej i sporadycznie można było znaleźć w niej kawałek mięsa końskiego.<sup>25</sup> Normy dniówek były różne w poszczególnych kołchozach i sowchozach. Na przykład w kołchozie Budionny, w obwodzie Aktiubińskim, dostawało się jedynie 20 dkg chleba oraz raz dziennie 0,5 litra mleka odtłuszczonego.<sup>26</sup> Najgorzej było na przednówku, kiedy dniówka obrachunkowa wynosiła jedynie 0,3 kg zboża i nic więcej.<sup>27</sup>

Zupa była drugim, pod względem dostępności, składnikiem codziennej diety we wszystkich rejonach zesłania. Po jej porcję również trzeba było wystawać w długich kolejkach i tym także najczęściej zajmowały się dzieci. Zupy były gotowane na kaszy jęczmiennej razem z otrębami, rozwodnione i okraszone jedynie solą, której również brakowało, a sporadycznie dodawano do niej trochę suszonej ryby.<sup>28</sup> Zupę taką nazywano „uchą”. Innym przykładem gotowanych zup jest rozwodniony kałużnik z niewielkim dodatkiem ziemniaków.<sup>29</sup>

Kolejnym rodzajem zupy, była wydawana raz dziennie w ilości 0,5 litra, tzw. „bałanda”. „Była to w większości tzw. „łapsza”, tj. makaron, krajanka z żytniej mąki, zarzucony na wrzącą wodę. Nieraz trafił się jakiś rozmoczony klusek”.<sup>30</sup>

<sup>22</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 4.

<sup>23</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 15.

<sup>24</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 5.

<sup>25</sup> J. Stefanik, *Okruchy koszmarnych wspomnień*, AN PTL, sygn. 12.s, s. 7.

<sup>26</sup> Ibidem, s. 5.

<sup>27</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 5.

<sup>28</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 17.

<sup>29</sup> L. Słodki, op. cit., s. 23.

<sup>30</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 14.

Skrajnym przykładem bardzo niskiej jakości i wartości odżywczej zupy może być ta, którą przygotowywano dla przesiedlonych do kolchozu Siemipółka, w Kirgizji. Gotowano tam „polewkę” z mąki na wodzie. Była w postaci rozwodnionej zacierki, a dodawano do niej piołunu, przez co stawała się gorzka i ciężko ją było przełknąć.<sup>31</sup> Pożywieniem, na które również było stać polskich wygnańców była kasza owsiana „okraszona” olejem, po którą stało się w kolejce, w stołówce. Porcja kosztowała 60 kopiejek.<sup>32</sup> Zdarzało się, że była ona jedynie lekko słodzona, bez żadnej omasty.<sup>33</sup>

W stołówkach i sklepikach bywały dostępne także inne produkty żywnościowe, np. mięso, ziemniaki, itp., lecz zesłańców nie było na nie stać. Jedynie na takie, jak te trzy główne posiłki starczało im pieniędzy. Ceny jakiegokolwiek żywności były bardzo wysokie. Normy pracy były tak zawyżone, że nawet w miarę zdrowych nie było stać na ich wypracowanie. Przez co zarobki zesłańców również były bardzo niskie. Przykładowo, kilogram chleba kosztował 1 rubel i 5 kopiejek, a za 6 godzin pracy dostawało się 1 rubla.<sup>34</sup> Oczywiście nie pracowało się tylko 6 godzin, lecz od rana do nocy, często po 16, a nawet 18 godzin na dobę i to dawało szansę na kupno minimalnej porcji żywności i to tej najniezbędniejszej. Choć zdarzały się przypadki, że nie było ludzi stać nawet na wykupienie chleba.

Produkty takie jak: cukier, sól, kawa zbożowa, masło, czy cukierki, były zbytkiem, luksusem, na który zesłańcy w bardzo wyjątkowych sytuacjach mogli sobie pozwolić. W tak trudnej sytuacji, przy ciągłym niedożywieniu i głodzie, braku witamin, starano się w miarę możliwości na wszelkie dostępne sposoby uzupełniać codzienną dietę. Zesłańcy, dzięki własnej inicjatywie i pomysłowości oraz poznaniu miejscowych roślin, a także po nauczeniu się sposobów ich przyrządzania od ludności tam zamieszkałej potrafili przygotowywać posiłki praktycznie ze wszystkiego, co nie szkodzi człowiekowi.

Na Syberii, jednym ze sposobów na uzupełnienie codziennej, głodowej diety oraz niedoboru witamin, który powodował skorbut i kurzą ślepotę, było zbieranie runa leśnego. Lecz możliwe to było tylko w czasie panującego niezmiernie krótko, tylko dwa miesiące, lata. Zbierano wtedy w tajdze: jagody, poziomki, żurawinę, maliny, borówki, czerwoną i czarną porzeczkę.<sup>35</sup> Zbierano wszystko, w co bogata była syberyjska tajga. Powyżej runa leśnego rosła jarzębina. Z jej owoców przygotowywano na zimę dżemy, smażąc je uprzednio długo, by pozbyć się goryczy. Zbiera-

<sup>31</sup> J. Leśniak, *Wspomnienia Sybiraczki*, AN PTL, sygn. 22/s, s. 5.

<sup>32</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 7.

<sup>33</sup> A. Benisz, *Droga przez mękę*, AN PTL, sygn. 15/s, s. 17.

<sup>34</sup> L. Słodki, op. cit., s. 11.

<sup>35</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 2.

no także różne gatunki grzybów. Z nich robiono zaprawy, suszono na zimę i wymyślano różne sposoby ich konserwacji.<sup>36</sup>

Peklowanie w dużej ilości soli było jednym ze sposobów konserwowania grzybów. Jedna z zesłanek tak to opisuje:

Gotowano zupeł z solonych i robaczywych grzybów, gdyż ludzie zbierali grzyby. Tam rosły inne w niewielkiej ilości. Brak było prawdziwych. Do spotykanych należały: betki, surojadki, olszówki. Wszystkie te, które posiadały blaszki nie były przebierane, a tylko wsypano do beczek i solono. Mocno solono. Kiedy sól już przeżarła wyjmowano z beczek i takie nie gotowane zjadano w stołówce.<sup>37</sup>

Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej sytuacja żywieniowa pogorszyła się. Przestały przychodzić z Polski paczki żywnościowe, które także były uzupełnieniem wyżywienia. Mimo wstąpienia w zesłańców nowego ducha i chwilowej radości, jeszcze większy głód zaczął zaglądać ludziom w oczy. W obozach zwiększono normy pracy, a zmniejszono racje żywnościowe. Wszystko z tego powodu, by żołnierzom na froncie nie zabrakło prowiantu.<sup>38</sup> Sytuacja poprawiła się w momencie zawarcia porozumienia znanego pod nazwą Sikorski-Majski, kiedy to uznano, że Polacy nie są już wrogami radzieckiego państwa i narodu, lecz sojusznikami. Znow docierały paczki żywnościowe do obozów. Tym razem z Anglii i Stanów Zjednoczonych. Choć zawsze było ich niewystarczająco, jak na tak wyniszczone organizmy. W dodatku, znaczna ich część przepadała w drodze. Były wyczejnie kradzione.

Polepszająca się sytuacja polskiej ludności na zesłaniu nie trwała jednak długo. Po katastrofie gibraltarskiej, kiedy status Polaków ponownie się zmienił, głód powrócił. I mimo powstania w późniejszym czasie, „Armii Berlinga” oraz Związku Patriotów Polskich sytuacja nie wiele się zmieniła. Znow wszystko było podporządkowane wojsku, a żywność przygotowywano głównie z myślą o żołnierzach na froncie.

Tak tę sytuację wspomina zesłanka z posiołka pod Karpogorami, w obwodzie Archangielskim:

W stołówce powstała wielka pustka, gdyż nic nie przywożono. Wszystko szło na front, a tam też było słabe wyżywienie. Wszystkim kolchoźnikom wydano rozkaz, aby suszyli kartofle dla frontu. Takie suszone kartofle są niedobre, ale głód dodaje najlepszego apetytu i wszystko smakuje. Suszono je więc na kartkach zrobionych z łuczywa. Kartofle gotowano, obierano potem ze skórki, krajało w plasterki i wsuwano do pieca, aby tak wyschły.

W rosyjskim piecu palono codziennie, gdyż tamtejsze kobiety codziennie wypiekały jęczmienny chleb, który na drugi dzień już nie nadawał się do jedzenia, gdyż był gorzki.<sup>39</sup>

<sup>36</sup> L. Słodki, op. cit., s. 19.

<sup>37</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 28.

<sup>38</sup> A. Gruber, op. cit., s. 18.

<sup>39</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 28.

Z głodu ludzie przygotowywali posiłki z przeróżnych składników. W lasach zbierano dziki szczaw, koniczynę, komosę. A że wszystkie te leśne rośliny mały cierpki i gorzki smak gotowano je wielokrotnie w wodzie z solą, jeśli udało się ją zdobyć i sodą; mielono na maszynie i robiono z tego placki z dodatkiem mąki i tłuszczu, jeśli i te udało się zdobyć.<sup>40</sup> Zbierano również wszelkie zioła i kłącza: lebiodę, pokrzywę, złotogłów. Z pokrzywy gotowano wodnistą zupę, jedynie z solą,<sup>41</sup> a z lebiody przygotowywanej na gęsto jak szpinak, pieczono placki.<sup>42</sup>

Uzupełnienie pożywienia, w niewielkim zakresie, możliwe było na zasadzie wymiany z ludnością miejscową. Czasem udawało się wymienić trochę jagód na kilka ziemniaków, kubek mleka, chleb. I mimo, iż była to niewielka ilość zawsze zaspokajało to, choć odrobinę wciąż przemożny głód. Dzieci zajmowały się także polowaniem i łowieniem ryb, gdy rodzice pracowali w odległych lasach. Niekiedy jakieś małe zwierzę, najczęściej zająca, udało się złapać we wnyki lub złowić rybę na oścień.<sup>43</sup> Chęć „uciszenia” głodu, choć na chwilę, zmuszała ludzi do spożywania wyjątkowo wymyślnych i niesmacznych potraw. Jedzono nawet zwykłą trawę lub obierki ziemniaczane.<sup>44</sup>

O rozmiarach głodu w syberyjskiej tajdze świadczyć mogą choćby takie oto dwa przykłady:

Lipa [...] była na Syberii „drzewem życia”. Z jej łyka pleciono prymitywne obuwie i sznurki, zaś kora, od której oddzielano łyko służyła jako pokarm. Tak – jako pokarm. Po oddzieleniu łyka, korę krojono w kosteczki i suszono na poboczu kuchni. Po wyschnięciu mielono ją na prymitywnych żarnach. Otrzymywaną mąkę z kory lipowej zarzucano na wrzątek i otrzymywano galaretowatą zawiesinę, którą jedliśmy. Było to niezbyt smaczne, ale zawsze czymś wypełniło się żołądek. Przedłużało się czymkolwiek swoje bytowanie. Z mąki lipowej piekliśmy na płycie kuchni placki. Może wszystko to byłoby smaczniejsze, gdyby dodać do tego szczyptę soli. Ale soli nie było.<sup>45</sup>

A kiedy przyszła wiosna o tyle było lepiej, bo idąc do lasu braliśmy ze sobą nóż i zdzieraliśmy korę z brzozy. Tą grubą odrzucaliśmy, a miękką skrobaliśmy i jadło się. To było nasze śniadanie, no i pokrzywy były naszym pożywieniem.<sup>46</sup>

Także ludzie miejscowi kierowani ludzką życzliwością i chęcią ulżenia w głodzie, mimo lęku przed NKWD, starali się pomóc w niedoli zesłańcom, jak tylko potrafili; częstowali tym, co mieli do jedzenia – kawałkiem chleba, zupą, ziemniakami – choć sami posiadali bardzo niewiele. Robili to po kryjomu, by żaden funkcjonariusz, czy niezyczliwy są-

<sup>40</sup> L. Słodki, op. cit., s. 24.

<sup>41</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 28.

<sup>42</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 20-21.

<sup>43</sup> Ibidem, s. 20.

<sup>44</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 29.

<sup>45</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 20.

<sup>46</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 5.

siad tego nie widział, gdyż byli by niechybnie surowo za to ukarani przez służbistów z NKWD.<sup>47</sup>

Podobnie do Syberii, w Kazachstanie, codzienna sytuacja aprowizacyjna była równie katastrofalna. Oprócz czarnego chleba, głównym posiłkiem całodziennym była zupa o nazwie „szołucha”, zbożowa zupa na odwirowanym chudym mleku. Jej wartość odżywczą doskonale przedstawia poniższy opis:

„Szołucha” była to łuska z prosa w dodatku z piaskiem, który zgrzytał w zębach, więc nie można było tego gryźć tylko łykać. Oczywiście nie dało się z tego nic zrobić, poza tym, że wrzucało się na zimną wodę, gotowało i jako prażuchę jadło z mlekiem. Należałoby tu wspomnieć, że nie było w tym czasie soli do gotowania, a więc można sobie wyobrazić, jaki to miało smak, ale to nie takie ważne dobrze, że było, co włożyć do ust.<sup>48</sup>

W najbiedniejszych kołchozach całodziennym posiłkiem podczas tak ciężkiej pracy w stepie, jak kopanie i nawadnianie pól w upale, było tylko 0,5 litra skwaśniałego mleka zwanego „arian” i 20 dkg chleba za każdy przekopany metr sześcienny.<sup>49</sup> A bywały chwile, gdy brakowało pracy. Wtedy raz dziennie dostawało się tylko owo mleko.<sup>50</sup>

Podobnie do Syberii również w Kazachstanie powszechnie szerzył się szkorbut. Tutaj by mu zapobiec zbierano dziki czosnek i pocięty mieszało się z mlekiem lub zupą.<sup>51</sup> Klimat Kazachstanu umożliwił uprawę znacznie większej ilości zbóż i roślin uprawnych, niż klimat panujący na Syberii. Różnorodność i mnogość upraw, tylko w niewielkim stopniu, zwiększały szansę na uzupełnienie codziennego wyżywienia, gdyż z powodu bardzo niskich dniówek zesłańców nie było stać na dokupowanie żywności. Sposobem na urozmaicenie i zdobycie dodatkowego pożywienia była wymiana z miejscową ludnością, zbieranie poplonu, a nierzadko kradzież.

Zdarzało się, że niektórym z zesłańców udało się dostać od władz kołchozu kilka arów ziemi pod ogród, co poprawiało trochę ich sytuację żywieniową, gdyż w okresie letnim mogli zrobić zapasy na zimę. Lecz były to naprawdę nieliczne przypadki. Opisuje to jedna z zesłańców, która w grudniu 1941r., po amnestii, wraz z rodziną, została przesiedlona do Kazachstanu w rejon Koktiube:

Dostaliśmy 5 arów ziemi na ogród. Posadziliśmy, więc melony i arbuzy. Tutaj warzyw żadnych nie siano. Gdy w lipcu dojrzały to był dopiero wielki luksus, bo melony są bardzo smaczne. Było ich kilka gatunków o różnych smakach i przez dwa miesiące można było jeść do syta. Suszyliśmy je również na zimę. Kroiło się w paski i dwa dni wisały na słońcu /powiązane sznurkami/. Później splatało się w warkocze i układało w skrzynkach. Po kilku miesiącach jedliśmy je z herbatą.<sup>52</sup>

<sup>47</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 27.

<sup>48</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 7.

<sup>49</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 5.

<sup>50</sup> Ibidem, s. 6.

<sup>51</sup> Ibidem.

<sup>52</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 5

Miejscowa ludność po wyzbyciu się niechęci i uprzedzeń, a także lęku, poznawszy Polaków, starała się wspomóc ich w niedoli, na ile mogła sobie na to pozwolić. Także i tutaj poczęstunek był formą okazania współczucia i zrozumienia nieszczęścia, którego doznawali. Częstowali tym, co sami jedli: jajkiem, zupą, tzw. „lepioszkiem” (plackiem), „łap-szami” (łazankami) z mięsem baranim.<sup>53</sup>

By uzupełnić stale niewystarczające racje żywnościowe i umożliwić sobie dalsze trwanie, niejednokrotnie uciekano się do kradzieży, za którą groziły bardzo poważne konsekwencje – pobicie, grzywna, łącznie z karą osadzenia w więzieniu. Zależało to od sprytu i okazji oraz możliwości, a przede wszystkim od odwagi zesłańców. Jedną z deportowanych do kołchozu we wsi Łochwycki w obwodzie Aktiubuńskim opisuje owo zjawisko na przykładzie swej rodziny:

W okresie pełnienia funkcji nocnego opiekuna bydła, brat dokonywał [...] kradzieży, a mianowicie wszedł w kontakt z magazynierką magazynów zbożowych, która bojąc się dokonywać kradzieży, dawała klucze do magazynów, a on pod osłoną głębokiej nocy otwierał magazyn i do dwóch ładował pszenicę, a następnie jeden worek odwoził do magazynierki, a drugi do domu. Czynnności te powtarzał kilkakrotnie na przestrzeni trzech lat, to jest do czasu, kiedy został powołany do wojska.

[...] Funkcję letniego pastucha Staszek pełnił tylko dlatego, że mając do dyspozycji konia miał mnóstwo okazji do najrozmaitszych kradzieży, w zależności od sezonu. Wczesną wiosną, kiedy w polu był zasiew zbóż była okazja do zdobycia pszenicy, którą przywożono z pola i często pozostawiano pod gołym niebem. Wprawdzie był przy niej stróż, ale to nie było przeszkodą dla brata, ponieważ stróż spał, a Staszek brał cichcem zboże. Następnie, gdy w polu coś urosło, Staszek był pierwszy, który zdobywał wszystko to, co nadawało się już do jedzenia. Pamiętam jak przywiózł z pola, daleko położonego od wioski [...] pierwsze kawony, arbuzy, melony.

[...] W ten sposób byliśmy przez Staszka zaopatrywani w różnego rodzaju artykuły spożywcze, a więc w zboże, kukurydzę, słonecznik, ziemniaki i jarzynę.<sup>54</sup>

Trzeba zaznaczyć, że do takiego – w normalnych warunkach nieetycznego – zachowania zmuszał ludzi nieustający głód i troska o rodzinę, które czyniły ludzi zdesperowanymi, nie baczącymi na konsekwencje swojego postępowania.

Zbierano zakazany poplon, którym mogły być zbierane, pozostałe po wykopkach, małe ziemniaki lub zboże. Podczas żniw kradziono owies, kukurydzę, pszenicę, które jedzono nawet na surowo.<sup>55</sup> Z tej kradzionej pszenicy robiono tzw. „nan”. W języku kazaskim znaczy to chleb. Były to pieczone na patelni placki grubości 3cm z ciasta pszennego, które uprzednio wyrosło na zakwasie z poprzedniego razu.<sup>56</sup>

<sup>53</sup> Ibidem, s. 4.

<sup>54</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 7-8.

<sup>55</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 6.

<sup>56</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 6.

Również tutaj, podobnie jak na Syberii, doskwierający głód zmuszał ludzi do jedzenia wszystkiego, co udało się znaleźć. Mógł to być zajęczy szczaw, pędy młodej trawy.<sup>57</sup> Łapano i zjadano zwierzęta – kury, psy, koty.<sup>58</sup> Obrazu głodu niech dopełni taki oto fragment wspomnień jednej z zesłańców z kołchozu Budionny w obwodzie Aktiubińskim:

Zmarła pewna inteligentna matka wychowująca dwoje małych dzieci. Mieszkała z dziećmi samotnie w małej lepiance z klepiskiem. Sąsiedzi zauważyli, że ta pani rano nie wyszła ze swej lepianki. Zaglądają przez okienko i widzą leżącą ją na klepisku, [...] wstrząsający widok: kobieta martwa leży na ziemi, starsze dziecko śpi obok niej, a młodsze, może czteroletnie, trzyma w rączce i gryzie główkę małego kota, w garnku zaś znajdował się tułów, który najwidoczniej miał być ugotowany. Wszyscy płakali. Zwłoki zmarłej zawinięto w koc i zagrzebano w piasku. A dzieci oddano do sierocińca.<sup>59</sup>

### 3. Ubranie

Opis odzieży zajmuje stosunkowo mało miejsca we wspomnieniach zesłańców, pomimo znaczenia, jakie bez wątpienia, odgrywała ona w warunkach klimatycznych Syberii i Kazachstanu. Niejednokrotnie są to tylko krótkie wzmianki dotyczące braku ubrania i nieszczęść, jakie to ze sobą niesło. Szersze opisy dotyczą przeważnie różnic w odzieniu, w stosunku do tego, którego używali w swoich rodzinnych stronach.

W trakcie deportacji pozwalano na zabranie najniezbędniejszego ubrania. Ilość odzieży, różnorodność oraz jej grubość, jak się później często okazywało, były niewystarczające i nieadekwatne do warunków klimatycznych panujących w miejscach zesłania. Klimat Syberii, czy Kazachstanu znacznie różnił się pod względem temperatur i wilgotności od tego, w jakim żyli w Polsce. Zimą tamtejsze mrozy są dużo większe, a lato suche i gorące.

Pakowanie się do wyjazdu odbywało się w pośpiechu, bez żadnej informacji dokąd są wywożeni, w ogromnym zatrwożeniu i lęku, przez co wybór odzieży był chaotyczny i często przypadkowy. Jedynie pora roku była wskaźnikiem, co w danym momencie ze sobą zabrać w drogę. Rodzaj i ilość ubrania przez długie miesiące determinowały możliwość przeżycia oraz kondycję zdrowotną w warunkach zesłania. Ci, którzy w swej roztropności i przytomności umysłu zabrali ze sobą w podróż odpowiednie ubranie, tj.: kozuchy, futra, czy wołoki, zwiększali swoje szanse przetrwania. Zdarzało się jednak i tak, że zesłańcy wyruszali w drogę tylko w „jednej koszuli na grzbiecie”. Oprócz zdenerwowania spowodowanego ponaglaniem, któremu nie rzadko towarzyszyło bicie i obelgi, działało się tak między innymi dlatego, że obiecano im, iż otrzymają wszystko co niezbędne do przeżycia na miejscu przesiedlenia, w tym odzież. Rzeczywi-

<sup>57</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 6.

<sup>58</sup> Ibidem, s. 13.

<sup>59</sup> Ibidem.

stość okazywała się zazwyczaj zupełnie inna. Bardzo często zmuszeni byli ubierać się tylko w to, co przywieźli ze sobą. Było to przyczyną znacznej śmiertelności, już w drodze na zsyłkę. Niewystarczające odzienie, wraz z niedożywieniem, było także przyczyną znacznej zachorowalności i śmiertelności wśród zesłańców na miejscach osiedlenia.

Poza ubraniem, do codziennego bytowania w warunkach zesłania, głównym problemem była odpowiednia odzież robocza niezbędna do pracy. Na Syberii, na przydział odpowiedniego rodzaju ubrania i obuwia również trzeba było zapracować. Nic nie było dane za darmo, w myśl rozszerzonej stalinowskiej zasady, „kto nie rabotajet ten nie kuszajet”. Tak, że jeśli ktoś uprzednio nie zarobi na to, nie będzie mógł odpowiednio się ubrać. Ludzie, z przywiezionych ze sobą ubrań i materiałów, musieli sami przygotować sobie odpowiednią odzież do pracy. Szyli ocieplacze i rękawice z futer, płaszczy, a nawet z kołder i pierzyn, chroniące plecy, nogi i ręce<sup>60</sup>. W warunkach Syberii przydziałowe ubranie robocze stanowiły: kufajki, walonki, ciepłe czapki tzw. „uszatki”<sup>61</sup> i rękawice. Szczególnie niedostatek odpowiednich rękawic stanowił duży problem, gdyż w mrozie dochodzącym do 50°C trudno było utrzymać piłę, czy siekierę, w rękach tracących z zimna władzę.<sup>62</sup> Bardzo często dochodziło do odmrożeń rąk od trzonków łopat i siekier.

Podobnie było z obuwiami zimowym. Jako obuwia używano sztych ze szmat ocieplaczy,<sup>63</sup> które po włożeniu do kalosza zastępowały walonki. Niejednokrotnie kalosze były tylko ich prymitywną imitacją zrobioną nieudolnie z opony.<sup>64</sup> Inny rodzaj obuwia używanego na Syberii to tzw. „bachili”, drelichowe buty ocieplane watą, które opisuje zesłaniec z posiołka Iwdiel w obwodzie Swierdłowskim:

[...] jeśli chcesz przeżyć lagier to nie podchodź blisko do ogniska, żebyś nie roztopił lodu na „bachilach”. „Bachili” były to buty z drelichu ocieplane watą. Na „bachili” wkładaliśmy łapcie z łyka lipowego. Po paru godzinach pracy na zewnętrznej stronie „bachila” powstawała warstwa lodu od pracującej stopy. Lód ten był dodatkową warstwą izolacyjną, zabezpieczającą stopę przed przemarznięciem. Gdy nieroztropnie podstawiło się stopę do ognia, by się ogrzać, lód topniał wsiąkając w warstwę waty, przez co „bachil” tracił właściwości zabezpieczające stopy przed przemarzaniem. Odmrożenia nóg były częstymi wypadkami, a nie leczone należały powodowały gangrenę i amputację porażonych części nóg. Naczalstwo obozu wychodziło z założenia, że nogi odmrażano celowo by nie pracować, a to już było sabotażem. „Sabotażystów nam nie potrzeba” – mówiło naczalstwo i odsyłało inwalidów po amputacji do obozów o zaostrożnym reżimie, gdzie nielicznym udawało się przeżyć parę miesięcy.<sup>65</sup>

<sup>60</sup> L. Słodki, op. cit., s. 9.

<sup>61</sup> Ibidem, s. 22.

<sup>62</sup> A. Benisz, op. cit., s. 61.

<sup>63</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 4.

<sup>64</sup> A. Gruber, op. cit., s. 20.

<sup>65</sup> Ibidem, s. 8.

Buty tego rodzaju obsypywano śniegiem i polewano wodą zostawiając je w nocy na zewnątrz baraku by nie rozmarzły, gdyż w ten sposób zapewniano sobie ciepło i odpowiednią izolację nóg następnego dnia w pracy.<sup>66</sup> Należy tutaj także zauważyć, iż z powyższego fragmentu cytowanych wspomnień wyciera jasno, wrogi stosunek władz obozowych do cierpiących katorżniczą mękę zesłańców.

W krótkim okresie lata syberyjskiego używano obuwia szytego ze szmat, łapci plecionych z łyka lipowego.<sup>67</sup> Pomimo odgórnych zakazów zdarzały się także przypadki posyłania ludzi do pracy boso.<sup>68</sup> W okresie letnim, podczas pracy w lesie, zesłańcom ogromnie dokuczaly chmary komarów i meszek. By się przed nimi uchronić używano tzw. „nakomarników” – nakrycia głowy z siatką na twarzy, podobnego do kapelusza pszczelarza.<sup>69</sup> Niepracujący używali ubrań przywiezionych ze sobą z Polski do wymiany na pożywienie. Sprzedawali praktycznie wszystko, co mieli – odzież, bieliznę, pościel – aby wykupić chleb.

W Kazachstanie, podobnie jak na Syberii, ludzie zmuszeni byli ubierać się w odzież przywiezioną ze sobą na zesłanie, gdyż obiecanych, odpowiednich do klimatu ubrań, których miało być tutaj dla każdego wystarczająco, nie dostali. Odzież podczas pracy ulegała szybkiemu zniszczeniu. A trzeba zaznaczyć, że były to ubrania codziennego użytku, a nie robocze, które z założenia są wytrzymalsze. Zdarzały się przypadki, że jakieś ubrania w bardzo małej ilości dostarczano do sklepu, lecz szanse na otrzymanie ich były znikome. Po pierwsze dlatego, iż podlegały przydziałowi, a po drugie, przydział ów zależał od uznania lokalnego „predsiedatiela”. Możliwości zdobycia ubrania, jej ilość i rodzaj, tak opisuje jedna z zesłanek z Obwodu Aktiubińskiego:

[...] odzież na potęgę niszczyła się. O kupnie czegoś nowego do ubrania nie było mowy, bo praktycznie w kolchozie nie było sklepu normalnego. Owszem było wyznaczone miejsce na sklep, ale nic w nim nie było, od czasu do czasu /może raz na dwa miesiące/ przywozili do tego sklepu czarną sól, jeśli chodzi o artykuły żywnościowe, a także dwie sukienki i kufajki razem ze spodniami oraz walonki /buty filcowe z cholewami/. Niestety przywóz tych towarów do sklepu nie mógł napawać radością, bo nie można było tego kupić normalnie, gdyż podlegał on „przydziałowi”, tzn. predsiedatiel/wójt/ dokonywał według swego uznania „przydziału” osobom ponoć przodownikom pracy. W ten sposób wyznaczona osoba miała prawo kupić sobie np. kufajkę.<sup>70</sup>

Także tutaj, w Kazachstanie, brakowało bielizny, wierzchniej odzieży i obuwia. Ludzie do pracy chodzili boso lub owijali nogi szmatami.<sup>71</sup> Kto potrafił, naprawiał ubranie i obuwie we własnym zakresie, bądź

<sup>66</sup> A. Benisz, op. cit., s. 61.

<sup>67</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 20.

<sup>68</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 18.

<sup>69</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 15.

<sup>70</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 12.

<sup>71</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 5-6.

posiłkował się pomocą sąsiada.<sup>72</sup> W lecie, podczas upałów dochodzących do 50°C, wystarczała tylko koszulka z rękawem, a za obuwie służyć mogły zrobione na szydełku kapcie z bawełny.<sup>73</sup>

Sytuacja zaopatrzeniowa w niezbędnej odzieży poprawiła się po porozumieniu Sikorski – Stalin, kiedy Polaków zaczęto uznawać, już nie za wrogów, lecz jako sprzymierzeńców. Do momentu utworzenia instytucji „męża zaufania”, którą to funkcję sprawowali Polacy, utrudniano zesłańcom dostęp do darów przysyłanych dla nich przez aliantów, niejednokrotnie zwyczajnie je rozkradano. „Mężowie zaufania” roztaczali opiekę nad zesłańcami w danym okręgu i stanowili pieczę nad rzetelnym rozdzielaniem darów – żywności i odzieży. By skorzystać z pomocy aliantów i dostać coś z owych darów niejednokrotnie trzeba było odbywać daleką podróż do miejsc ich rozdzielania, co stanowiło poważne wyzwanie dla osłabionych i wycieńczonych głodem oraz pracą zesłańców. Przykładem niech tu będzie fragment wspomnień jednej z zesłanek deportowanych do Kazachstanu:

Zaczęły przychodzić dary ze Stanów Zjednoczonych do Czajanu, gdzie Polak był mężem zaufania. Nazywał się Lorenc. Kilka osób z kolchozu poszło 40km, aby coś dostać. Przynieśli trochę żywności i ubrania. Z żywności dostali cukier, mąkę, ceres, margarynę. Na miejscu dzielili dla wszystkich po równo. Nie było tego dużo, ale dobre było i to. Najbardziej pragnęliśmy dostać soli, ale nie mogliśmy jej nigdzie dostać, ani zdobyć. To, co spożywaliśmy było niesmaczne, bo sól była nieosiągalna. Miejscowi posiadali trochę soli, ale nie na, tyle aby się podzielić z nami. Tatuś i brat dostali angielskie ubrania, a mamusia, siostra i ja po jednej sukience. Dostaliśmy też po jednej parze butów. Mężczyźni wojskowe trzewiki, a my pantofle.<sup>74</sup>

W oparciu o instytucję męża zaufania ambasady, tworzono także różnego rodzaju spółdzielnie rzemieślnicze: szewskie, krawieckie, wyrobów trykotarskich, wyprawiania skór, wyrobu walonków, zabawkarskie itp.<sup>75</sup> Z dostarczanych podartych i brudnych płaszczy, po uprzednim upraniu, naprawieniu lub przerobieniu produkowano odzież: kurtki, spodnie, spódnice. Z białego płótna przeznaczonego na szycie bielizny wyłącznie dla wojska, przy odrobinie sprytu, zesłańcy szyli ją również dla siebie, mimo bardzo poważnych konsekwencji w razie przyłapania na tym procederze.<sup>76</sup>

Stan ten nie trwał jednak długo. Po śmierci gen. Sikorskiego i ujawnieniu zbrodni katyńskiej Rosja radziecka zerwała porozumienie z polskim rządem londyńskim. Sytuacja Polaków ponownie pogorszyła się. Władze radzieckie przejęły magazyny znajdujące się w polskich placówkach wraz z całą ich zawartością.<sup>77</sup> Mimo, iż Polacy byli wcześniej

<sup>72</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 13.

<sup>73</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 4.

<sup>74</sup> Ibidem, s. 7.

<sup>75</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 12.

<sup>76</sup> Ibidem, s. 12-13.

<sup>77</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 30-31.

amnestionowani i uznani za ludzi wolnych, przez co posiadali prawo przenoszenia się do miejsc przez siebie wybranych, utrudniano lub nawet uniemożliwiano im przenoszenie się do innych miejsc z powodu ponownego braku zaufania. Drugi raz przeprowadzono paszportyzację, tym samym zmuszając Polaków do przyjęcia obywatelstwa radzieckiego. W przypadku odmowy skazywano i osadzano ludzi w więzieniach i łagrach.

Ponowną opiekę nad zesłańcami miała roztoczyć od 1943r. mario-netkowa, komunistyczna organizacja polityczna – Związek Patriotów Polskich. Nie poprawiło to jednak zbyt sytuacji zesłańców w zakresie wyposażenia w odzież i obuwie, gdyż była to organizacja niezwykle zbiurokratyzowana i podporządkowana woli władz radzieckich, którym nie była w stanie i nie zamierzała sprzeciwić się. Nadal posiłkowano się wyrabianiem prowizorycznego ubrania i obuwia. Podobnie do zagadnienia głodu, brak odzieży i obuwia pozostał nie rozwiązany problemem do końca zesłania.

#### 4. Mieszkanie

Ciepło i bezpieczeństwo rodzinnego domu na długie lata, czasem na zawsze, odeszły wraz z momentem wejścia na pokład przesiedleńczych eszelonów kierujących się w odległe rejony Związku Radzieckiego. Podczas drogi do miejsc przeznaczenia napotykana gościnność miejscowej ludności dawała lekką nadzieję, że życie na nieprzyjaznej ziemi jako się ułoży, jednak warunki czasowego zakwaterowania, tak odmienne od tych w rodzimej Polsce wskazywały, iż gehenna zesłania dopiero się zaczyna. We wsiach, w których zatrzymywano się na nocleg deportowanych umieszczano w barakach, gdzie spali na gołej ziemi lub rozlokowywano u miejscowych gospodarzy i kolchoźników. Dla tych zesłańców, którzy dotarli do wygnańczych miejsc przeznaczenia, „powitanie” komendantów obozów – posiołków, kolchozów, łagrów – było wyrokiem. Słowa padające z ust wielu komendantów obozów – „wasza Polska zginęła, waszej Polski nie ma na mapie Europy; jak pożyjesz tu 20 lat, to padochniesz jak sobaka”,<sup>78</sup> „zostaliście przesiedleni tutaj na zawsze i nie ma powrotu do Polski, ponosicie karę za rok 1920; tu wasza praca będzie, życie i śmierć”<sup>79</sup> – rozwiewały nadzieje na rychły powrót do ukochanej Polski. Słowa te uzmysłowiły zesłańcom, że przyjdzie im spędzić długie lata w tym obcym kraju. Jednak miłość do ojczyzny i wiara w Boga były trwałymi fundamentami siły przetrwania i nadziei powrotu, których, jak czas pokazał, tego rodzaju propaganda skruszyć nie potrafiła.

Na Syberii zesłańców rozmieszczano w specjalnych osiedlach tzw. posiołkach. Posiołek była to najczęściej leśna polana, na której stało kilka lub kilkanaście baraków, domy administracji osiedla oraz komendan-

<sup>78</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 14.

<sup>79</sup> L. Słodki, op. cit., s. 7.

ta.<sup>80</sup> W niektórych posiołkach już zastano na miejscu, w innych z czasem wznoszono budynki gospodarcze: stołówkę, sklep spożywczy, piekarnię, szkołę, przedszkole, żłobek, a nawet dom kultury.<sup>81</sup> Ich rodzaj i ilość zależały od nakazów władz państwa, ale niejednokrotnie także od woli władz danego osiedla, a nie od potrzeb ludzi mieszkających w posiołku. Z powodu biurokracji i bałaganu, jaki panował w strukturach organizacyjnych po przyjeździe na teren posiołka, często cały obóz musiał być dopiero organizowany i budowany przez zesłańców. Do tego czasu mieszkali oni w całkowicie prowizorycznych barakach, czy wręcz szałasach.

Miejscami lokalizacji posiołków były tereny położone w bardzo odległych, nieprzystępnych, często podmokłych rejonach, otoczonych tajgą. W okolicy znajdowała się zazwyczaj rzeka, bądź jezioro czy bagno. Osiedla te nie były otaczane drutem kolczastym w celu utrudnienia ucieczki, gdyż w tym klimacie i przy takich odległościach do najbliższej wsi mało kto decydował się na nią. Umieszczenie posiołków na terenie tajgi związane było z przemysłem i przetwórstwem leśnym.

Po środku posiołka stał maszt otoczony barakami mieszkalnymi dla zesłańców, na który wciągano flagę w czasie radzieckich świąt państwowych i wokół którego odbywały się apele i zbiórki. Baraki, w jakich mieszkali zesłańcy zbudowane były z okorowanych potężnych bali sosnowych, pokrytych deskami,<sup>82</sup> uszczelnione z zewnątrz leśnym mchem.<sup>83</sup> Baraki były różnej wielkości i zawierały od jednej do kilku izb, ale zdarzały się także posiadające nawet po kilkanaście maleńkich pomieszczeń.<sup>84</sup> Od środka ściany były obite dyktą, choć bywały i takie, które w ogóle nie były uszczelniane od wewnątrz, przez co, mimo grzania w piecu, było w nich zimno, a nawiewany piach lub śnieg sypały się mieszkańcom na głowę. W domach tych mieszkało kilka lub kilkanaście rodzin, w zależności od ilości pomieszczeń. Lecz zagęszczenie w pomieszczeniach zawsze było bardzo duże i na jednym, bądź dwóch m<sup>2</sup>, potrafiło zakwaterować rodzinę wieloosobową, do 23 ludzi w pomieszczeniu. W większych salach umieszczano nawet kilkanaście rodzin.<sup>85</sup> Spano na prowizorycznych, piętrowych, zbitych z desek łózkach,<sup>86</sup> na deskach poukładanych na stołkach,<sup>87</sup> bądź na żelaznych pryczach i siennikach,<sup>88</sup> a także na ziemi, gdy w danym pomieszczeniu mieszkało wiele osób. W baraku znajdowały się jeszcze, kuchnia i duży piec do gotowania i ogrzewania.

<sup>80</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 12.

<sup>81</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 2.

<sup>82</sup> L. Słodki, op. cit., s. 7.

<sup>83</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 12.

<sup>84</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 2.

<sup>85</sup> L. Słodki, op. cit., s. 7.

<sup>86</sup> A. Benisz, op. cit., s. 53.

<sup>87</sup> A. Zybajło-Masternak, op. cit., s. 13.

<sup>88</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 6.

Przykładowy wygląd i organizację baraku dobrze oddaje opis jednej z zesłanek posiłoka Driabino nad rzeką Dźwiną w obwodzie Archangielskim:

Urządzaliśmy się w barakach na to nowe nasze życie. Były w nich łózka żelazne i sienniki. Każda rodzina zajmowała tyle łóżek na ile miała pościeli. Baraki były drewniane, wewnętrzne ściany z dykty. Różna była ich wielkość. Długość naszego wynosiła 16 m, a szerokość chyba 8 m. Zmieściło się w nim 16 rodzin. Pośrodku stał długi stół i ławy; dwie, albo nawet trzy kuchnie do ogrzewania i gotowania, zbudowane z gliny, a może cegieł, na wierzchu miały żelazne płyty. Ponieważ drzewa na opał nie brakowało, więc nie marzliśmy. Okna były dość duże, a za tym wnętrze dość jasne. Baraki służyły zesłańcom, których nigdy nie brakowało, choćby z pośród własnych obywateli tego kraju. Urządziliśmy się wkrótce, każda rodzina odgrodziła się kotarami od sąsiadów i w ten sposób powstały jak gdyby odrębne pokoiki.<sup>89</sup>

Na podmokłym terenie baraki budowano na podwyższeniu. Na wysokości metra lub dwóch od ziemi kładziono deski na palach, które tworzyły chodniki łączące zabudowania.<sup>90</sup> W barakach nie było wody bieżącej, zlewów, ani ubikacji.<sup>91</sup> Do gotowania i ogrzewania pomieszczeń używano drewna i chrustu, którego w okolicznych lasach nie brakowało. Uciążliwością było to, że trzeba było przynieść je sobie samemu na plecach, a zajęcie to często wykonywały dzieci, podczas gdy ich rodzice byli w pracy.<sup>92</sup>

Pośród różnych budynków znajdujących się na terenie posiłoka, szczególne znaczenie miała łaźnia, tzw. „bania”, dzięki której można było, w miarę znośnie jak na te warunki, utrzymać higienę osobistą oraz ogrzać się i wypocić by poprawić stan swojego zdrowia. Chodziło się do niej raz w tygodniu. Tak oto przedstawia „banię”, jej budowę i zasadę działania, zesłaniec z obwodu Archangielskiego:

Bania to sauna prymitywnie urządzona i wyposażona. Składała się z dwóch pomieszczeń: jednego większego z ławami z desek ustawionymi pionowo, gdzie odbywało się parowanie, drugiego małego z piecem obłożonym kamieniami. Pod tymi kamieniami palono i na nie lało się wodę, która zamieniała się w parę. Para przedostawała się otworami do pomieszczenia, gdzie ludzie siedzieli na ławach. W bani mycie odbywało się bez mydła. Gorąca para nie tylko myła, ale i rozgrzewała organizm, następowało wypocenie, wpływało to korzystnie na poprawę zdrowia po przeziębieniach.<sup>93</sup>

Gorąca łaźnia, była również skutecznym sposobem na pozbycie się insektów, będących powszechną plagą. Mydła oraz innych środków czystości było bardzo mało, najczęściej w ogóle nie było, więc jedynie gorąca woda i temperatura były skutecznym sposobem na pozbycie się z ciała

<sup>89</sup> Ibidem.

<sup>90</sup> L. Słodki, op. cit., s. 11.

<sup>91</sup> Ibidem.

<sup>92</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 3.

<sup>93</sup> L. Słodki, op. cit., s. 8.

wszy, pluskiew i pozostałych insektów. Do prania i mycia w zastępstwie mydła używano ługu robionego z drzewnego popiołu.<sup>94</sup>

Wszystkim powszechnie dokuczało różnego rodzaju robactwo (pluskwy, karakony, meszki, komary) oraz szczury.<sup>95</sup> W pomieszczeniach największym utrapieniem były pluskwy, które kryły się za dnia w szczelinach śród-belkowych i we mchu.<sup>96</sup> Wciskały się do ubrań, pościeli. Lecz nocą wychodziły na zewnątrz, spadały z sufitu na łóżka i kąsały boleśnie nie dając ludziom spać. Próbą walki z nimi było bielenie wapnem ścian, smarowanie się naftą,<sup>97</sup> lecz najczęściej walczono z nimi przesuwając łóżka z miejsca na miejsce, gdzie mniej dokuczały, bądź wsadzano nogi łóżek w naczynia z wodą; odnosiło to tylko chwilowy skutek.<sup>98</sup>

Następną udręką były karaluchy i karakony, które w ogromnej liczbie, nocą wylaziły na żer i wyjadały, tak drogocenny, chleb.<sup>99</sup> Latem doskwierały komary i meszki, które roznosiły różnego rodzaju choroby, w tym malarię. Tak to wspomina zesłanka wywieziona do obwodu Krasnojarskiego:

Warunki były coraz gorsze. Do tego wszystkiego szerzyła się malaria i inne choroby. Latem nie można było wyjść bez założenia siatki na twarz i wysmarowania smarem – o bardzo nieprzyjemnym zapachu. Bo tak dokuczała muszka, nie można było ust otworzyć, bo było pełno w ustach, nosie, oczach. Strasznie gryzły, ukąszenia po nich nie goiły się, bo ciało puchło i płynęła ropa.<sup>100</sup>

Elektryczności w posiołkach nie było, co szczególnie doskwierało zimą, gdy – w zależności od rejonu – dzień był bardzo krótki lub słońce wcale nie wschodziło. Jako podstawowe oświetlenie, z powodu bardzo częstego braku nafty do lamp naftowych, służyła tzw. „koptiłka”, bądź łuczycwo smolne. „Koptiłka”, był to rodzaj lampy zbudowanej z małego pojemnika, do którego nalewano tranu. Następnie wkładano do niego jakąś szmatę służącą za knot. Nazwa wywodzi się stąd, że podczas palenia się lampa ta bardzo kopciała.<sup>101</sup>

W tak skrajnie trudnych warunkach bytowych ludzie próbowali organizować swoje życie na wygnaniu. W rzadkich, wolnych chwilach od pracy rodzice uczyli swoje dzieci czytać i pisać w języku polskim, by nie zapomniały swego pochodzenia. Do nauki najczęściej służyły zabrane z domu książeczki do nabożeństwa, chowane przed służbą obozową, gdyż były lekturą zakazaną.<sup>102</sup> Po utworzeniu szkół czteroletnich wszystkie dzieci w wieku do 13 roku życia były zobowiązane do nich uczęszczać.

<sup>94</sup> Ibidem, s. 11.

<sup>95</sup> A. Benisz, op. cit., s. 53.

<sup>96</sup> L. Słodki, op. cit., s. 19.

<sup>97</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 7.

<sup>98</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 3.

<sup>99</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 7.

<sup>100</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 5.

<sup>101</sup> J. Michalewski, *Zesłańcze losy rodziny Kubisiaków*, AN PTL, sygn. 24/s, s. 7.

<sup>102</sup> M. Kuczyński, op. cit., s. 16.

Nauka była w języku rosyjskim, dlatego „domowe” nauczanie dzieci przez rodziców miało bardzo duże znaczenie w utrzymaniu ich tożsamości. Dzieci, które nie chodziły do szkoły nie dostawały przydziałowego, dziennego wyżywienia. Te dzieci, którym rodzice pomarli, zabierane były do sierocińców. Ludzi starych, niezdolnych do pracy zabierano do domów starców, powodując kolejną tragedię, rozdzielając rodziny, żonę z mężem, bądź matkę z dzieckiem.<sup>103</sup>

Pomimo wielu pasm udręki zdarzały się sporadycznie chwile wytchnienia. Poza zajęciami szkolnymi, by wypełnić dzieciom wolny czas, tworzono różnego rodzaju kółka zainteresowań, organizowano zabawy taneczne, śpiewano i muzykowano. Zawierano również związki małżeńskie, ale tylko cywilne.<sup>104</sup>

Jednak warunki panujące na Syberii, niedożywienie i katorżnicza praca zbierały cały czas swój ogromny plon. Ludzie tracili nadzieję powrotu, chorowali, marli z głodu i wycieńczenia w ogromnej liczbie. Odchodzili bez ostatnich sakramentów.<sup>105</sup> Po pewnym czasie zubożenie na śmierć było dość powszechne. Uczucia związane ze śmiercią i sposób pochówku, na jaki można było tam liczyć dobrze oddaje poniższy przykład:

Zaczęła się szerzyć choroba i śmierć zbierała swoje żniwo. Zmarłych grzebano w zamrzniętej ziemi. Rzucano gałęzie, na gałęzie zwłoki i tak znowu przykrywano gałęziami, a na to bryły zamrzniętej ziemi. Śmierć już nie robiła na nas większego wrażenia, bo zazdrościliśmy tym, co mają już spokój, a na miejsce wolne na pryczy – mógł się położyć ktoś z żyjących. Bo miejsca nie było, tak był barak przeładowany.<sup>106</sup>

Na południu, tj. w Kazachstanie, Kirgizji, czy Uzbekistanie, zesłańcy byli osiedlani w sowchozach (państwowych gospodarstwach rolnych) i kołchozach (spółdzielniach rolniczych). Były to rozległe osady, zamieszkiwane przez państwowych pracowników rolnych – kołchoźników, mieszkających najczęściej w ziemiankach. W obozie, ziemianki rozmieszczone były po dwóch stronach niebrukowanej drogi, bez chodników. Każdy kołchoźnik mógł posiadać jedną kurę i krowę oraz mały ogródek, w którym sadił ziemniaki i słonecznik. Zdarzało się, że w obozie znajdowała się cerkiew, która służyła za spichlerz. Obok stała szkoła podstawowa, biuro kołchoźnika oraz pomieszczenie przeznaczone na sklep i jedyny dwuizbowy, drewniany dom przewodniczącego obozu, tzw. „priecidatiela”. Zabudowania te stanowiły centrum kołchozu. Posiołki te nie posiadały żadnych „przybytków” kultury takich jak: kino, biblioteka, czy dom kultury oraz nie były zelektryfikowane.<sup>107</sup> Znajdujące

<sup>103</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 3.

<sup>104</sup> Ibidem.

<sup>105</sup> T. Sitarek, op. cit., s. 12.

<sup>106</sup> J. Maliszewska, op. cit., s. 4.

<sup>107</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 6.

się w nich kołchozy związane były z produkcją rolną. Otaczały je żyzne pola uprawne oraz step, na którym wypasano zwierzęta hodowlane.

Zesłańców lokowano w samodzielnych ziemiankach, które przednio musieli posprzątać lub u kołchoźników. Ziemianki, były to jednakowe w całym obozie, niskie domy zbudowane z gliny, zazwyczaj z jedną lub dwiema izbami, z małymi, wmurowanymi, nie otwieranymi okienkami, bez podłogi. Podłogą było gliniane klepisko. Funkcję kuchni spełniało prymitywne palenisko. Mebli w nich nie było żadnych. Sporadycznie wyposażone były tylko w prowizoryczne, sklecone z desek prycze do spania.<sup>108</sup> W większości przypadków spano na klepisku zasłanym słomą lub rosnącym w tym rejonie chwastem, służącymi jako posłanie, gdyż tylko nieliczni przywieźli ze sobą pościel. Za przykład niech posłuży poniższy opis:

Nasza lepianka był mała, zaniedbana, straszliwie brudna o dwóch okienkach „wmurowanych”[...] bez możliwości ich otwarcia. Złożyliśmy swój marny dobytek na stepie przed lepianką i zabraliśmy się do robienia porządków. [...] Ścierką zmywałyśmy ściany i klepisko, które było glinianą podłogą. Na razie nocowaliśmy w stepie, aż lepianka przeszyła. Umeblowania nie było żadnego. Za posłanie służył nam rozesłany na klepisku chwast rosnący kępami obficie na stepie, niewysoki, zwany przez Kozaków „połyn”, a przez nas spolszczony piołun. Miał miły zapach, który odstraszał różne robactwo. Co tydzień na niedzielę przynosiło się świeży piołun, a starym paliło się w takiej małej „niby kuchence”. Była to podmurówka okryta blachą, w której były wycięte dwie małe dziury, zupełnie niepodobne do naszych fajerek. Palenisko prymitywne bez żadnego rusztu i bez drzwiczek. Za opał służył nie tylko piołun, ale też nawóz krowi lub jeszcze lepszy – owczy wysuszony na słońcu.<sup>109</sup>

Zesłańcy mieszkający z rodzinami kołchoźników mieli o tyle gołej, że zagęszczenie w izbach znacznie się zwiększało, a w zimie mieszkali z nimi również zwierzęta, o czym świadczyć może poniższy fragment wspomnień:

Ziemianka, w której nas ulokowano składała się z jednej izby, w której stał duży piec. Przedłużeniem pieca była prycza z desek, na której spała rodzina kołchoźników. Pod oknami /2 małe okienka/ była ława /deska na 2-ch klockach/, a obok niej kufer, który zawierał dobytek tej rodziny, a równocześnie służył jako stół. Rodzina kołchoźników składała się z 3-ch osób. W tym małym pomieszczeniu mieszkało nas 7 osób. Spaliśmy na klepisku, podłogi nie było. W zimie mieszkali z nami kury i cielę ze względu na silne mrozy. W ciągu dnia wprowadzano krowę do cielecia.<sup>110</sup>

W bezdrzewnym stepie, na którym rosły jedynie małe krzaki i trawa, a na polach zboże, za opał służyło siano, słoma i krowie odchody oraz „buran”<sup>111</sup> (wyschnięte krzewiny; nazwa poch. od wiatru) lub „dżantak”<sup>112</sup>

<sup>108</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 3-4.

<sup>109</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 3-4.

<sup>110</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 2.

<sup>111</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 17.

<sup>112</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 5.

(kłujące ziele, wys. ok. 60cm). Mieszkańcom ziemianek za opał na zimę służył zbierany w lecie i odpowiednio preparowany, nawóz krowi, tzw. „kiziki”<sup>113</sup> (lub „kiziaki”). Wyrabiano je z krowiego łajna z dodatkiem słomy lub siana. Na wiosnę rozmarzający nawóz polewano wodą, po sfermentowaniu deptano go (zarówno konie jak i ludzie) do miękkości, następnie formowano w drewnianych formach dwa razy większych od cegieł i pozostawiano na słońcu do wyschnięcia. Tak przygotowany opał magazynowano na zimę pod zadaszeniem, chroniącym go przed opadami, gdyż mokry by się nie palił. Latem natomiast, do codziennego użytku, zbierano łajno do wiader, dosypywano słomy bądź siana dla zagęszczenia, a następnie po zmieszaniu składników ubijano i formowano w placki, które suszono na słońcu. Nigdy nie wystarczającą ilość tego małowartościowego opału uzupełniano samą słomą lub sianem, również dającymi mało ciepła, które spalały się jeszcze szybciej niż owe „energetyczne placki”. By zdobyć opał niejednokrotnie uciekano się do kradzieży, za którą groziły bardzo poważne konsekwencje, łącznie z osadzeniem w więzieniu.<sup>114</sup> Krowi nawóz zmieszany z gliną stosowano także jako zaprawę, do odświeżania izb w lepiankach i wyrównywania dziur w klepisku zrobionych przez mieszkające w nich w trakcie zimy zwierzęta.<sup>115</sup>

W kolchozach, opodal których rosły lasy, palono również, „przemycanym” bez wiedzy władz obozu, drewnem znoszonym do domu na plecach. Jeżeli w lepiance znajdował się piec z zapiekiem służącym do spania i siedzenia, to spali na nim gospodarze, a zesłańcy na klepisku. Przed piecem, na małym murku zostawiano zagrzebany żar do rozpalamia ognia w dniu następnym. Po wypaleniu się wsadu w piecu, komin zatykano workiem wypełnionym słomą, by zatrzymać ciepło w ziemiance.<sup>116</sup>

Z powodu braku prądu do oświetlenia ziemianek służyły tzw. „kopciuchy” (inna nazwa „kopciłka”<sup>117</sup>), proste lampki zrobione z butelki wypełnionej do połowy wodą, które następnie dopełniano deficytową naftą. Knot stanowiła rurka metalowa wypełniona szmatą nasączoną naftą, umieszczona w szyjce butelki.<sup>118</sup>

Metodę pozyskiwania ognia do rozpalamia w piecu oraz sposób radzenia sobie z brakiem światła dobrze przedstawia jedna z zesłanek z obrodu Aktiubińskiego:

W tym miejscu muszę wspomnieć, w jaki sposób zdobywaliśmy ogień, bo nikt tu zapalek nie widział, a także nie słyszał o elektryczności. Otóż, ogień otrzymywaliśmy za pomocą krzesiwa, czyli dwóch kamyczków i hubki, która iskrzyła się przy tarciu tych kamyczków. Sposób zdobycia ognia nie był zbyt łatwy i dlatego radziliśmy sobie w ten sposób, że wychodziło się przed dom i pa-

<sup>113</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 7.

<sup>114</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 6.

<sup>115</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 7.

<sup>116</sup> Ibidem.

<sup>117</sup> A. Borkowska, op. cit., s. 8.

<sup>118</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 7.

trzyło, kto już pali u siebie, jeżeli było to blisko, to szło się do sąsiada i przynosiło tak zwany żar, z którego otrzymywaliśmy ogień. Natomiast oświetlenie naszej izby wyglądało w ten sposób, że zdobywało się gdzieś naftę, wlewało do jakiegoś pojemnika i zakładało tzw. knot z materiału, który paląc się niesamowicie kopał, na ale dawał światło. Z uwagi na to, że naftę trudno było zdobyć, wobec tego należało ją oszczędzać. W tej, więc sytuacji chodziliśmy oczywiście w zimie wcześniej spać / w lecie w ogóle nie używaliśmy tzw. lampy/. Takie leżenie w betach wynosiło nawet 12-14 godzin, bo cóż było robić, jeżeli w izbie było zimno i ciemno.<sup>119</sup>

Najczęściej jedynym sposobem pozyskiwania wody do picia i przygotowywania jedzenia oraz mycia, były studnie znajdujące się na terenie kołchozu. Czerpanie wody w zimie było wielkim utrapieniem, gdyż woda zamarzała i trzeba było rozbić lód przed jej nabraniem.

W Kazachstanie, podobnie do Syberii, zesłańcom dokuczwały plagi szczurów i myszy.<sup>120</sup> Szerzyło się robactwo, wszy, różne choroby powodowane brakiem higieny, gdyż przez okres 6-u lat nie było możliwości zdobycia kawałka mydła, ani innych środków czystości. Nie było też białizny i odzieży na zimę. Także i tu, jedyną formą higieny i możliwością umycia się była bania, do której chodziło się dwa razy w miesiącu. Bania – łaźnia, była to ziemianka 2 m x 2,5 m; w jednym rogu był piec z małym paleniskiem, zbudowany z żelastwa i kamieni, które rozgrzewało się do wysokiej temperatury. W drugim rogu stała prycza i dwie beczki zimnej wody, którą polewało się owe kamienie, bądź wkładało się rozgrzany pręt żelazny i rozgrzewało wodę w beczce do żądanej temperatury. Tak tworzyła się gorąca para do obmywania ciała.<sup>121</sup>

Także w Kazachstanie, dzieci uczęszczały do rosyjskich szkół, a gdy nie było zajęć musiały pracować w polu, przy plewieniu zboża i wrywaniu chwastów – ostu, piołunu, itp.<sup>122</sup> W miejscach, w których nie istniały żadne ośrodki kultury, młodzież spotykała się na drodze przed domem, tańczyła i śpiewała przy wtórze harmoszek i bałajki. Była to ich jedyna rozrywka po ciężkiej pracy. Spotkania takie możliwe były wyłącznie nocą, gdyż tylko wtedy dysponowali wolnym czasem.<sup>123</sup>

Część zesłanej ludności, która po porozumieniu polsko-rosyjskim i związaną z nim amnestią przeniosła się, z północnych, zimnych rejonów syberyjskich, w bardziej dogodne klimatycznie rejony Kazachstanu i Uzbekistanu, czy Kirgizji, zastała tam podobnie opłakane warunki bytowe jak na północy. Przyszło im wieść życie podobne do Polaków zesłanych tutaj bezpośrednio w trakcie deportacji. Choć zdarzały się przypadki, że komuś udało się zdobyć w miarę normalne mieszkanie z podłogą, oknami i kuchnią, przez co warunki jego życia trochę się poprawiły. Był to

<sup>119</sup> T. Tokarz, op. cit., s. 12-13.

<sup>120</sup> Ibidem, s. 13.

<sup>121</sup> J. Leśniak, op. cit., s. 6.

<sup>122</sup> Ibidem, s. 5.

<sup>123</sup> Ibidem, s. 7.

zazwyczaj jeden pokój w dwuizbowym mieszkaniu, które dzieliło się z miejscową rodziną.<sup>124</sup>

Przed repatriacją część zesłańców przewieziono na Ukrainę, gdzie warunki życia były zbliżone do tych z wcześniejszych miejsc wygnania. Również zmuszeni byli ciężko pracować w kołchozach i sowchozach oraz mieszkać w lepiankach bez prądu. Jednak nadzieja na rychły powrót do ojczyzny i znacznie łagodniejszy klimat czyniły ich życie znośniejszym.

---

<sup>124</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 12.